

**MICHAŁ BUCZKOWSKI
JANUSZ BUCZKOWSKI**

**CZAS WOJNY
(1939 – 1945)
WSPOMNIENIA**

Maj 1940 – 1941 r.

Jak już pisałem, w miejscowości Kotłas załadowano nas do pociągów i dowieziono nas do północnej Dźwiny i Wyczegdy, tj. olbrzymiej rzeki, która wpada do Morza Białego. Tam załadowano nas do barek i nie wiem już, jak długo i daleko wieziono nas barkami wciąż na północ. Siedzieliśmy pod pokładem barki. Pilnowali nas już żołnierze radzieccy, ale nie Rosjanie, tylko jacy kosoocy Azjaci, nie wolno było im z nami rozmawiać, wprowadzono bardzo surowy reżim. W międzyczasie udało się z niektórymi żołnierzami radzieckimi nawiązać rozmowę i dowiedzieliśmy się od nich cośy za jedni. Otóż żołnierzom tym oświadczono, że my jesteśmy fińskimi żołnierzami wojenno-plennymi i bardzo niebezpiecznymi wrogami Związku Radzieckiego.

W końcu żeśmy gdzieś dobili do brzegu wśród dziewiczej tajgi. Żeśmy zeszli na ląd stały i jeszcze dwa dni szliśmy w tzw. etap na pieszo. Był to marsz pięćdziesięciokilometrowy przez tajgę drogą ułożoną z drzewa. Były olbrzymie śniegi, droga była przetarta już przez ludzi będących tam, zagnanych przed

nami. Po drodze widzieliśmy więźniów rosyjskich w przydrożnych barakach. Byli to mężczyźni, kobiety, a nawet i dzieci, wszystko za kratami. Doszliśmy do miejsca przeznaczenia. Było nieco wyrąbanego lasu i kilka niewielkich baraków i trochę ziemianek. Oświadczono nam, że znajdujemy się na miejscu swego przeznaczenia, że tu będziemy budowali transsawierma żelaznej drogi (transpółnocna droga kolejowa, żelazna). Byłem w 55 kolonii czwartego oddzielenia.

Praca nasza zaczęła się od wyrębu lasu i przygotowaniu linii ciągłej do ułożenia torów kolejowych. Jak żeśmy zdołali się dowiedzieć od Rosjan, zatrudnionych przy budowie kolei było 120 tysięcy jeńców polskich. Ogólna liczba jeńców polskich była 231 tysięcy, rozrzuconych na całym terytorium ZSSR.

Pracowaliśmy po 12 godzin dziennie. Wyżywienie było dwa razy dziennie, tj. śniadanie i kolacja, obiadów nasze władze nie uznawały, był to widocznie wymysł burżuazyjny ze zgniłego zachodu. Ponieważ nie mieliśmy na razie odpowiednich pomieszczeń do zakwaterowania, władze sowieckie naszych obozów zarządziły budowę baraków mieszkalnych. Tak zwanego lata pod kołem polarnym u nas było nie więcej jak trzy miesiące. Trzeba więc było się spieszyć z budową baraków.

Wyłoniono spośród ogólnej grupy jeńców stolarzy, cieśli, dodano im pomocników i wzięto się szybko do postawienia baraków. Nasi jeńcy zbudowali odpowiednią ilość baraków, jak również i pomieszczenia gospodarcze i dla obsługi cywilnej jak i żołnierzy, którzy nas pilnowali. Na razie ogrodzeni byliśmy drutami kolczastymi i co pewną odległość stały karabiny maszynowe z obsługą wojskową NKWD, która nas pilnowała. Po zbudowaniu baraków jeńcy polscy na zlecenie naszych przełożonych władz NKWD zbudowali solidne ogrodzenie z ostrokołów. Zbudowano też solidne tzw. wyżki, tj. piętrowe wieże, na których zostały następnie umieszczone karabiny maszynowe. Płot został obity drutami kolczastymi, obwieszony linią elektryczną, podłączony do sieci elektrycznej tak, że cały obóz został oświetlony rżęsiście.

Wewnątrz baraków natomiast mieliśmy bardzo słabe oświetlenie kagankami przy pomocy ropy naftowej. Tak, że panował wewnątrz półmrok, a baraki były bez okien i tylko jedne drzwi wejściowe były. Pośrodku baraków umieszczono beczki żelazne, chyba po jakimś smarze i z tego były urządzone piece do ogrzewania. Zbudowano też łaźnię, piekarnię i kuchnię.

Jak widać z mego opisu, to Rosjanie nie byli przygotowani na przyjęcie jeńców, tylko zrobili to wszystkimi naszymi rękoma. Mieli tylko trochę pił, łopat i innych narzędzi rzemieślniczych. Polacy zbudowali nawet kuźnię – znaleźli się wśród nas i kowale, zaczęli potem sami wykuwać najrozmaitsze narzędzia, niezbędne cywilizowanemu człowiekowi. Porobili nawet i brzytwy do golenia. Wszyscy byliśmy od wielu tygodni nie goleni i strzyżeni. Wyglądaliśmy na jakichś leśnych zbójców z bajek naszych babek. /Gdy przyglądam się teraz na niektórych naszych młodych ludzi z długimi włosami i nie golonymi brodami, to stają mi przed oczyma czasy jenieckie – tylko tam mieliśmy na dodatek wszy, z których żeśmy się jeszcze obierali rok czasu po opuszczeniu amnestii ZSSR w Iraku i Iranie./

Jak zaznaczyłem, praca była bardzo ciężka i wyczerpująca. Wyżywienie składało się z kilkuset gram czarnego chleba w ilościach zależnych od wyrobionej normy. Dwa razy dziennie była nam dawana zupa, tzw. łapsza, tj. kluski z czarnej mąki bez żadnych przypraw z dodatkiem wody, na której ugotowane były te kluski. Ziemniaki były rzadkim dodatkiem do naszego menu, a o warzywach nie było mowy. Czasami otrzymywaliśmy po kawałku mięsa, czy też kości wielbłądzich, przywiezionych

do nas w beczkach, peklowane, ale były to przeważnie łby wielbłądzie i nogi. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy kawałki ryby, tzw. treska. Były to ryby w rodzaju naszych dorszy, ale tak cholernie słone, że po zjedzeniu dość małej porcji opijaliśmy się wodą, oczywiście z dobrego północnego śniegu, gdyż studni specjalnych na północy nie było. Jak nastąpiła pora cieplejsza, to wodę brało się spod korzeni drzew. Ziemia była wiecznie zmarznięta, odtajała najwyżej do ponad pół metra. Nasi rzemieślnicy zbudowali też masę taczek, na których wywoziliśmy ziemię z wyniosłości w zagłębienia i w ten sposób szykowaliśmy nasypy na tory kolejowe.

Ponieważ praca była ciężka, normy ciągle nam podwyższano, za to samo wyżywienie, toteż zaczęliśmy szybko chudnąć i z braku wyżywienia w witaminy, masowo chorowaliśmy na tzw. po rosyjsku cyngę, tj. po polsku szkorbut lub awitaminoza, brak witamin. Rzuciła się na nas cynga i kurza ślepotą. W okresie tzw. lata były miliardy komarów i te nam dawały się na dodatek srogo we znaki. Dano nam wprawdzie nakomarniki i rękawice, ale z dużym opóźnieniem i nie na wiele się nam już zdały.

Było to lato arktyczne, rok 1940, m. czerwiec, lipiec i pół sierpnia, we wrześniu już była twarda zima. Mieliśmy około miesiąca absolutnego dnia, a w zimę miesiąc absolutnej nocy. Mrozy szybko doszły od 20 stopni C do 50°. Do pracy nie wychodziliśmy, jak było poniżej 35 stopni mrozu. Ciepłe ubrania i walonki dostaliśmy znów za późno i odmrażaliśmy sobie nogi. Rosjanie nam mówili, że ubiwać nas nie budet, sami zdzież podechnim. To znaczy po polsku· my was zabijać nie będziemy, sami tutaj pozdychacie. Wobec takich warunków nastąpiła wśród nas duża śmiertelność. Nie było dnia, aby jakiś kolega się już do pracy nie obudził. Spaliśmy na twardych deskach, nie dali nam żadnych koców do przykrycia ani nic pod głowę. Pod głowę kładło się wojskowe buty, a spało się na płaszczu wojskowym, który służył jednocześnie do nakrycia. Toteż dużo zostawiliśmy mogił żołnierzy polskich na wszystkich szlakach tułaczki jenieckiej.

Tak byliśmy do roku 1941. Ja osobiście planowałem ucieczkę z niewoli, wielu z nas uciekało. Ale te ucieczki to były aktem rozpaczcy, po prostu beznadziejne, zważywszy na olbrzymie obszary Rosji. Odważniejsi uciekali, ale po kilku

dniach sami wracali albo zostali schwytani. Grożono nam karą śmierci, ale i to nie odstraszało od ucieczek.

Ja również z 21 na 22 czerwca 41 r. zdecydowałem się na ucieczkę z niewoli i we trzech postanowiliśmy uciec. Wiedzieliśmy, że to beznadziejna decyzja, ale nie chcieliśmy umierać powoli w chorobie i poniżeniu. Często śpiewaliśmy w marszu do pracy lub z powrotem pieśń powstańców 1863 r.:

*Gdy przyjdzie nam umrzeć wśród boju
czy w tajgach Sybiru nam zginąć,
z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć.*

Śpiewaliśmy również pieśni wojskowe, stare i legionowe. Rosjanie jak się zorientowali, że to są pieśni patriotyczne, zabronili nam śpiewać.

Bielizny nam nie zmieniano od roku i chodziliśmy w niepranej. To był lepszy sposób na wszy, gdyż zauważyliśmy, że wesz lęgnie się z brudu, ale również lubi i czystość. Kto zdecydował się na wypranie koszuli, natychmiast wyroiły się mu wszy i taki biedak nie mógł z nimi sobie dać rady. Najlepszy sposób na wszy to jest bezwzględna czystość albo dać im spokój, to tak nie atakują. Wieczorem po pracy siadaliśmy

dookoła pieców i na zmianę przypalaliśmy wszy, a raczej gnidy i to był najlepszy sposób, aby je niszczyć w zaraniu.

W miarę pobytu na północy sylwetki nasze się wydłużały, nabieraliśmy coraz szczuplejszej postaci. Wielu traciło zęby, ciało okrywało się wrzodami, ciało puchło, następnie wracało do poprzedniej normy. Cykl taki powtarzał się do trzech razy i potem słabszy delikwent umierał. Były to skutki systematycznego głodowania, jak i braku witamin. Ja już spuchłem dwa razy i wiedziałem, że jeśli spuchnę trzeci raz, nastąpi niechybna śmierć. Nie mogłem się pogodzić z takim stanem rzeczy. Zbliżał się czerwiec 1941 r., nie mogliśmy się doczekać spodziewanej wojny niemiecko-rosyjskiej. Nasi wspólni wrogowie wciąż żyli ze sobą w przyjaźni.

Maj 1940 – czerwiec 1941 r.

Kochany Tatusiu!

Kiedy Ciebie wywieziono, i to tak daleko, nie umiałem sobie nawet tego wyobrazić. Aż kilka tysięcy kilometrów od Białegostoku! Ja wtedy kończyłem osiem lat. Już nawet umiałem liczyć. Nauczyłem się w klasie wstępnej. Pani uczyła nas po polsku, najpierw do dziesięciu, potem do stu, aż nawet do tysiąca. W przeliczeniu na kilometry nie bardzo wiedziałem, ile to jest. Teraz już wiem. Gdybyśmy wtedy, w czasie tej strasznej zimy czterdziestego roku chcieli Cię odwiedzić, to – jak powiedziała mamusia – musielibyśmy jechać chyba kilka tygodni.

Napisałem „jechać”. Tam, gdzie Ty byłeś, podobno nie zawsze dawało się dojechać. Trzeba było iść. Ja bym poszedł. Nawet bym Ci chleba przyniósł, nie wiem tylko, czy po drodze by się nie zestarzał. Chyba najlepsze byłyby suchary? Niestety, już ich nie mieliśmy, zjedliśmy z mamą wszystkie, kiedy rozpoczęła się ta niespodziewana wojna. Na Drewnianej chleba nie było, ale kiedy w drugiej połowie września przyszli Sowieci, a my przenieśliśmy się na Sienkiewicza, to chleb pomału zaczął się pokazywać.

Był czarny, bułek już nie było. Mamusia dawała mi go, ile tylko chciałem. Przeważnie posmarowany był smalcem. Już później było też masło. Było wtedy, kiedy wypłacili mamie pierwsze ruble. Dostawała nawet i czerwienice. Za to można było na rynku kupić bardzo dużo. Mama nie miała za wiele tych czerwienców, ale gdybym mógł Ci donieść chleba, to poprosiłbym mamę o taki czerwieniec i wydałbym wszystko na chleb dla Ciebie.

Teraz, po przeczytaniu pamiętnika, wiem, jak tam za tą Dźwiną i Wyczegdą było wam ciężko. Piszesz, że dostawaliście jedzenie tylko dwa razy dziennie, i to bardzo niewiele, rano i wieczorem. Obiadów wam nie dawali, bo to podobno był burżuazyjny wymysł. Nie wiem, czy burżuazyjny. Mnie się wydawało, że to bardziej był wymysł mojego żołądka. Pamiętam, że mama zawsze mi obiad dawała. Najczęściej zupę, która nazywała się kartoflanka. Była też i zacierka, a z takich lepszych (ale tylko zimą) kapuśniak, w którym pływały kawałki rąbanki. Rąbanek to mięso ze świni, które wycinało się po kolei, a nie w zależności od rodzaju. Nie bardzo lubiłem tę rąbanek, ale mamusia kazała mi jeść, mówiąc, że tłuszcz jest mi bardzo potrzebny, szczególnie zimą.

Nie piszesz, tato, czy wam też dawali rąbanek? Przeczytałem, że tylko kaszę, i to taką wodnistą. Mamusia też gotowała kaszę. Najbardziej lubiłem mannę polaną sokiem. Nie wiem, jaką ty, tatusiu, lubiłeś. Ja bym ci to wszystko zawiózł, ale nie wiedziałem, gdzie ty jesteś. W tamtym czasie oddałbym Ci nawet i mannę, abyś tylko był z nami.

Piszesz, że ciężko i długo pracujesz, że dają wam mało jeść, ale nic nie wspominasz, czy tęsknisz za nami. Ja bardzo tęskniłem za Tobą. Czasami tak sobie myślałem, że gdybyś był z nami, to nawet bym zjadał wieczorem odgrzewaną zacierkę z tymi rozmokłymi skwarkami. Chleb ze smalcem nawet lubiłem, lubiłem też skropiony wodą i posypany cukrem, ale skwarki, takie rozmiękłe w zupie, oj nie. Ale co miałem zrobić, chciało mi się jeść, więc jadłem. Pomagałem sobie w ten sposób, że kiedy na łyżce zobaczyłem taką rozmiękłą skwarkę, to zamykałem oczy i ją połykałem.

Zdarzało się, że jedliśmy również mięso, przeważnie w niedzielę. Mama w sobotę pracowała krócej, bo i krócej siedzieli w tych swoich pokojach ci sowieccy żołnierze. Może źle powiedziałem, że żołnierze. To byli oficerowie. Na pagonach mieli różne odznaczenia – trójkąty, kwadraty, prostokąty, no i wreszcie gwiazdki. Ci, co mieli gwiazdki, byli najważniejsi.

W sobotę po południu zamykali pokoje, wychodzili i mamusia też mogła wyjść. Wtedy prawie biegiem szliśmy na rynek. A dlaczego biegiem? Bo tam można było kupić słoninę, rąbankę, a nawet kielbasę (oj, jaka była dobra!). Kielbasę jadłem rzadko, czasami dostawałem mały kawałek w niedzielę na śniadanie. To wszystko przywozili ze wsi chłopci. Były z nimi i baby, ale baby się nie liczyły, bo one sprzedawały tylko biały ser, masło, śmietanę i jajka. Dla nas były to rarytasy. Żeby to kupić, trzeba było przyjść na rynek bardzo wcześnie. Czasami mamie udawało się pójść jeszcze przed pracą. Wtedy mieliśmy kilka jajek, a czasami nawet i małą osełkę masła. W sklepach tego nie było, tylko na rynku. A na rynku tylko rano.

Kiedy mamie nie udało się przyjść rano, to w południe zostawały same resztki, takie najgorsze. Małe jajeczka, kwaśny ser, a o kielbasie można było tylko pomarzyć. Najczęściej mamusia kupowała rąbankę i to tą najtłustszą, bo tylko taka zostawała. Pamiętam, jak kiedyś przyniosła całą głowę świniaka z uszami. W domu wszystko pokroiła i potem dodawała do kartoflanki i zacierkowej. Gotowała też kaszę. Dawła mi polewaną częstkami tłuszczu i mięsa z głowy świni. Pfe! Jak ja tego nie lubiłem. Prosiłem

– Mamusiu, daj mi kaszę, ale polewaną sokiem.

– Januszku – odpowiadała – synku, proszę cię, jedz kaszę ze skwarkami, przecież ty musisz rosnać, ty musisz mieć siłę.

– Mamusiu, ja z mięskiem to bym może i zjadł, ale te uszy od świnki to nie. Już wolałbym jeść ogonek, który czasami kupujesz.

– Kupiłabym ci częściej, ale kiedy mogę iść na rynek, to ogonków już nie ma. Może mi się uda kupić w następną sobotę.

Czasami się udawało, a czasami nie. Lubiłem chodzić na rynek. Najczęściej siedłem z mamą, ale bywało, że i sam albo z kolegami ze szkoły.

Rysiek i Władek mieszkali w okolicy rynku. Od nas, z Sienkiewicza też było niedaleko. Czasami ich odprowadzałem, a potem wracałem przez rynek. Był inny niż ten, kiedy siedłem z mamą. Tamten był bardzo gwarny, z dużą ilością ludzi, wozów, straganów i koni. Kręciło się po nim także dużo więcej kupujących niż na tym późniejszym. Między nimi chodzili sowieccy milicjanci, kontrolowali sprzedających, ale zaczepiali także i kupujących. Mnie nie – chyba dlatego, że byłem dzieckiem.

Na „moim” rynku było spokojnie, a to z tego powodu, że pozostało tam już niewiele do sprzedania. Były natomiast pierdziołki. Pierdziołka to owoc dzikiej gruszy rosnącej na polach. Owoce zbierało się jesienią, kiedy były jeszcze zielone. Kładło się je do sieni i po jakimś czasie, po dwóch, trzech tygodniach wyjmowało. Z zielonych robiły się brunatnobrązowe, wyglądały jak zgniłe. Były bardzo smaczne. A mama mówiła, że są bardzo wartościowe dla organizmu.

Jabłek, gruszek, śliwek i innych owoców było niewiele, a jak już były, to bardzo drogie. Mama nie miała na tyle rubli, aby je kupować. Kupowała za to pierdziołki, ale często bywało tak, że jak siedłem sam na rynek, to szukałem miejsc, gdzie je sprzedają, stawałem przed straganem i proszącym wzrokiem

przyglądałem się im. Często, szczególnie kiedy sprzedawcą była kobieta, wołała mnie do siebie i mówiła:

– Chłopczyku, chodź tu do mnie, dam ci trochę pierdziołek.

No i dawała. Wtedy wkładałem je za pazuchę i szedłem do następnego miejsca, gdzie także siedziały panie sprzedające pierdziołki. Czasami mój proszący wzrok powodował, że dostawałem następne, ale nie zawsze.

Kiedyś przydarzył mi się taki przypadek. Kiedy pani dawała mi garstkę tych gruszek, kilka z nich upadło na ziemię. Schyliłem się, żeby pozbierać i wtedy zaczęły mi wypadać te zza pazuchy. Wtedy to pani krzyknęła na mnie ze złością:

– Ot, ty mały żulik! (z rosyjskiego łobuz). Ty trzymasz pierdziołki za pazuchą, pewnie żeś je ukradł, a teraz i mnie może też chciałeś ukraść.

Rozpłakałem się.

– Proszę pani, ja nie ukradłem, dała mi inna pani.

– To jak ci dała, to czego chciałeś jeszcze ode mnie?

– Proszę pani, ja przecież nic nie mówiłem, tylko patrzyłem, a pani sama zaczęła mi dawać. Moja mamusia nie ma na tyle rubli, żeby mi kupić, a tatuś jest na wojnie i nie wiemy, kiedy wróci.

– Zaczekaj, myślę, że mówisz prawdę, dam ci coś jeszcze.

I dała, duży kawał wiejskiego chleba i pęto kiełbasy, tyle, że starczyło i dla mamy. Ale mieliśmy wtedy smaczną kolację i nawet zostało na następny dzień. Nie pamiętam dobrze, czy przytrafiło mi się dostać tyle, co wtedy, ale na rynek chodziłem dalej i zawsze coś tam dostawałem. Przeważnie pierdziołki, a czasami również wiejski chleb.

Ci ludzie ze wsi byli bardzo dobrzy, zawsze dawali dzieciom coś do zjedzenia. Z tego, co wyczytałem z Twojego pamiętnika, również Tobie, tato, zdarzyło się, że i tam ludzie

z kołchozu czasami dawali wam coś do zjedzenia, zwłaszcza chleb.

Gorszy był ksiądz z kościoła, który sąsiedował z naszym podwórkiem. Był tam sad z jabłkami. Jabłka były bardzo dobre, ale i bardzo drogie, tak mówiła mama. Sama ich nie kupowała, nie miała na tyle pieniędzy. Kiedyś z chłopakami przeszliśmy przez płot do tego kościelnego ogrodu. Zobaczył nas ksiądz, bardzo nas skrzyczał i powiedział, że tak się nie robi, żeby rwać cudze jabłka, że to grzech i że odpokutujemy za to, że tu weszliśmy. Nie bardzo wiedziałem, co to znaczy odpokutować. Dalej kazał nam się wynosić. Wyszliśmy już nie przez płot, tylko przez ogród od strony kościoła.

Tobie tato było bardzo ciężko, jadałeś nawet pokrzywę, aby przeżyć. Teraz to wiem, że pokrzywa to wspaniałe zioło, ale tylko w sytuacji, kiedy ma się wystarczającą ilość pożywienia. Ty, tato nie miałeś, my z mamą też nie mieliśmy za wiele, ale mama tak się starała, że nie chodziłem głodny.

W międzyczasie, pisząc to, przypomniało mi się, że jeszcze przed wojną zabierałeś nas, tatusiu do tej restauracji mieszczącej się na początku Sienkiewicza. Nie pamiętam, czy w każdą niedzielę, ale pamiętam, że tam chodziliśmy. Zjadaliśmy zupę (ja dostawałem pyszny rosółek), potem drugie danie i kompot, przeważnie z jabłek, a nawet i z gruszką. Tak mi ten kompot smakował, że pamiętam jego smak i zapach do tej pory.

Po wojnie opowiadałeś o tym swoim znajomym, jak to było Cię stać, żeby zabierać nas z mamą do restauracji na obiad, który kosztował średnio na nas troje trzy złote. Dopowiedziałeś także, że zarabiałeś wtedy

miesięcznie 180, a nawet i 200 złotych. Pamiętam także, że zabierałeś mnie na chałwę i buzę (specjalny napój do popijania chałwy). To dopiero była pycha.

W 2009 roku (miałem już wtedy 77 lat) pojechałem do Białegostoku kolejny raz powspominać tamte czasy. W pewnym momencie wszedłem w podwórko na ulicy Sienkiewicza 12. Na miejscu frontowej kamienicy stał nowy dom zbudowany po wojnie. Nie było też naszego domu. Oba uległy zniszczeniu w czasie bombardowania. Pozostała tylko po lewej stronie stara kamienica i dom piętrowy na wprost wejścia.

Na dole tego domu były jakieś pomieszczenia warsztatowo-handlowe, a na pierwszym piętrze dwa duże mieszkania po lewej i po prawej stronie korytarza. Po lewej w okresie od września 1939 do czerwca 1941 roku mieszkał generał Żukow z żoną i synem Kostią. Wtedy już wiedziałem, że Kostia żyje i że jest dziennikarzem w miasteczku Gwiazdne, gdzie znajduje się ośrodek nuklearny Rosji sowieckiej. Korciło mnie, aby wejść do jego dawnego mieszkania. Zadzwoiłem. Po dłuższej chwili usłyszałem zbliżające się wolne kroki. Po chwili drzwi się otworzyły. Zobaczyłem stojącą przede mną starszą panią. Zdziwiona spojrzała na mnie i pyta:

– A pan do kogo?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć, nie wiedziałem, do kogo chcę wejść. Po chwili ocknąłem się.

– Proszę pani, ja 65 lat temu przychodziłem tu, przychodziłem do Kostii Żukowa, on był moim kolegą, on tu mieszkał. Chciałem dowiedzieć się, kto teraz zajmuje to mieszkanie.

– Teraz to mieszkam ja – odpowiedziała starsza pani – ale proszę, niech pan wejdzie, niech pan siądzie, niech pan sobie

powspomina. Ja w tym czasie zrobię herbatę i przyniosę coś do herbaty.

Usiadłem z przyjemnością, mój obolały kręgosłup wymagał odpoczynku. Nie było mi dane siedzieć długo. Zauważyłem, że starszej pani z trudem przychodzi przyniesienie tego, co mi zaproponowała. Poderwałem się z gracją. Powiedziałem:

– Proszę pani, ja pomogę.

– Z przyjemnością przyjmę pana pomoc – odpowiedziała. – Ja mam już 86 lat (była ode mnie starsza o dziesięć lat).

Po godzinie byliśmy już dobrymi znajomymi. Wspomnieniom nie było końca. Każde z nas chciało opowiadać o sobie. Czas spędziliśmy bardzo miło.

Gościnność ludzi z Podlesia zawsze mnie urzała, tak było również i teraz. W rewanżu zrobiłem mojej znajomej zdjęcie w jej mieszkaniu. Okazało się, że była ona córką właścicielki obu kamienic i domu parterowego, w którym mieszkałem. Na samym początku wojny Sowieci wywieźli ich jako burżujów do jakiegoś obozu. Tam przesiedziała z rodzicami cały okres wojenny. po wojnie nowe władze zabrały ich własność. W miejsce zbombardowanej kamienicy postawili blok i nie pozwolili im wrócić do ich własności. Resztę życia do czasu śmierci rodziców błąkała się po okolicach Białegostoku. W tym mieszkaniu mieszka od niedawna. Zamieszkała tu, kiedy stopniowo zaczęły zmieniać się przepisy na korzyść dawnych właścicieli. Co będzie dalej, tego jeszcze nie wiedziała. Żegnając gościnną starszą panią, życzyłem jej długiego dalszego życia i jednocześnie przestrzegłem, aby, będąc sama, nie wpuszczała do domu przygodnych nieznanomych, jak to zrobiła w stosunku do mnie. Pani nazywała się Maria Rećko.

Po kilku godzinach wyszedłem od gościnnej pani Marii. Wtedy to poczułem głód. Za chwilę zobaczyłem miejsce, gdzie mieściła się restauracja, do której chodziliśmy przed wojną na niedzielne obiady. Dawniej był to bardzo popularny niedrogi lokal. Tymczasem moim oczom ukazała się nowoczesna, piękna, stylizowana restauracja. Pomyślałem, że i ceny będą „stylizowane” i na pewno za wysokie jak na moje emeryckie dochody. Mimo to wspomnienia zwyciężyły. Wszedłem.

Za chwilę kelner podał kartę dań. Najtańszą potrawą był żurek podlaski. Kosztował 14 złotych. Ciebie, tato wtedy było stać, żeby tam chodzić, mnie teraz nie. Mimo to chciałem tu zjeść. Użyłem małego fortelu jak stary Zagłoba. Kiedy ponownie zjawił się kelner, opowiedziałem mu historię z tamtych lat, kiedy przychodziliśmy do tej restauracji na nasze niedzielne obiady. Mojego ojca było stać, mnie nie. Mimo to bardzo chciałem coś zjeść, ale mam tylko 10 złotych przy sobie. Poprosiłem kelnera, aby podał mi żurek ze zmniejszoną porcją, taką za 10 złotych. Spojrzał na mnie ogromnie zdziwiony i powiedział, że musi się spytać szefa, czy tak można. Długo go nie było. Po paru minutach przyszedł z miską pełną żurku i powiedział:

– Opowiedziałem pana historię. Kiedy szef to usłyszał, kazał mi podać całą porcję, a wziąć za nią od pana tylko 10 złotych – i dodał. – Starych klientów trzeba szanować.

Pewnie tak, przecież ja tu chadzałem 70 lat temu, a więc byłem starym klientem. Potem pomyślałem, że jak zaoszczędziłem na żurku cztery złote, to mogę trochę poszaleć. Kupiłem białostocką kaszanke, kiszke, kielbasę i jak najczarniejszy razowy chleb, taki podobny do tego, jaki jadałem za Sowietów. Wszystko to przywoziłem do Warszawy, gdzie mieszka moja córka Marzena z mężem Rafałem i wnuczką

Kamisią. Czekala też na mnie moja żona. Byli trochę zdziwieni tymi moimi wiktuałami, ale chcąc mi zrobić przyjemność, nawet jedli i, zdawało mi się, że z apetytem.

A wracając do tamtych czasów dodaję, że i ja miałem okazję, tak jak i Ty tatusiu, mieć „styczność” z Finami.

Sowieci kłamali, żeby zatuszować wasze polskie pochodzenie, mówili konwojentom, że jesteście jeńcami fińskimi. Ja już wtedy wiedziałem, skąd u nich się to wzięło. Mówili, że nie prowadzili z Polską wojny, a Polskę i Polaków wyzwalałi od kapitalistycznego ucisku. Z tego powodu Polacy nie mogli być jeńcami wojennymi. Natomiast prowadzili wojnę z Finlandią. Ciężko im tam szło. Zwyciężali tylko na filmie. A skąd to wiem?

Przecież, jak na pewno pamiętasz, niedaleko od nas było kino „Pan”. Czasem mnie do niego zabierałeś. Teraz Sowieci nakazali w szkole zabrać nas na film przedstawiający ich wielkie zwycięstwa w wojnie z Finami. Mimo że byliśmy bardzo mali (miałem wtedy osiem lat), czuliśmy, że tak naprawdę to ich nie zwyciężą. I nie zwyciężyli.

Czytając dalej Twój pamiętnik dowiedziałem się, że planujesz ucieczkę. Pomyślałem, że dobrze, oby tylko się udało.